

LEO BELMONT

ZŁOTOWŁOSA
CZAROWNICA
Z GLARUS

LEO BELMONT

ZŁOTOWŁOSA
CZAROWNICA
Z GLARUS

 SAGA
EGMONT

Leo Belmont

Złotowłosa czarownica z Glarus

Saga

Złotowłosa czarownica z Glarus
Zdjęcia na okładce: Shutterstock
Copyright © 1932, 2019 Leo Belmont i SAGA Egmont
Wszystkie prawa zastrzeżone
ISBN: 9788711676974

1. Wydanie w formie e-booka, 2019
Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA
Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Czcigodnemu Człowiekowi, malarzowi czarownic
MARJANOWI WAWRZENIECKIEMU

to dzieło
wdzięcznem sercem
poświęcam.

Ja zabita prawdę stroję w krepy..
Tłum Twych widzów, o Mistrzu, był ślepy! —
Bo nie dojrzał przez przepych Twych barw,
Że-ś jest Światła ognistym probierzem,
Że-ś był w walce o Prawdę szermierzem,
Zdarł z przesądów wiekowych sto larw!

Idiotyczne szemrały wciąż głosy:
Przecz malujesz tortury i stosy,
Zamiast kwiatów z bezmyślności łąk?
Nie widziano, że stawiasz ołtarze
Świętej Prawdzie — że Twój pędzel karze
Złą ciemnotę, tę twórczynię mąk!...

Tyś mi rzekt — a jasne miałeś lice, —
Że nie zgasną moje błyskawice,
Słów mych gromy znajdą jutro wtór...
Jutro! jutro!... o, marna pociecho!
Lecz wystarcza, że w Twem sercu echo, —
Kiedy-ś słuchał — obudził mój twór!

Twoją barw, a moją słów jest zbroja...
Ale poszła „Czarownica“ moja
Przez Twych natchnień, przez Twej myśli szlak
Z łąką i grotem śmiechu — między ślepych...
Idąc, Tobie za barw Twoich przepych —
Krwawą głową, daje bratni znak!

Leo Belmont.

PRZEDMOWA AUTORA.

Krew mrozi w żyłach ta opowieść, jakkolwiek przebiega niekiedy szlakami humoru, bawi, śmieszy, zadziwia, zanim napnie się do najwyższego szczytu tragedji, aby targnąć sercem czytelnika, wycisnąć łyzy niepowstrzymane, wstrząsnąć myślą, pozostawić niezatarte wspomnienie głębokiej nauki o zbiorowej psyche ludzkiej w dziwacznych gzygzakach jej powolnego rozwoju, w poszukiwaniu prawdy, która jawi się oku w coraz to innych kształtach błędnych ogników wieczystej złudy. Jest ona w każdym calu wolnomyslicielską, ale jest czemś znacznie więcej, aniżeli to zdawkowe określenie krótkowidztwa — bądź przyklaskującego jej walce z zabobonami wszystkich wiar, bądź zachającego się przed jej rzekomem zuchwalstwem, obnażającym grzechy wszystkich wyznań — powiedzieć może. Sięga bowiem dalej, niż mówią pozory: nie chodzi tu o walkę z ciemnotą i krzywiznami kleru, tak wpływowego w dziejach, a popychającego tylekroć masy do szaleństwa i zbrodni, bądź nieświadomie - złoźnie, bądź też świadomie oszustwem w celach zazdrośnie bronionej potęgi i chciwości materialnych zysków. Stoi ona na tej wyżynie, z której padł bolesny i litościwy okrzyk zadumy mędrca nad bezradnością umysłu ludzkiego, dręczonego majakami wyobraźni od wyjścia z kolebki aż po dzień dzisiejszy drobnych promyków światła, przedzierających się przez ocean mgły i krwawe topieliska bratobójczych walk we wszystkich epokach i na wszystkich pasach globu — ów okrzyk:

*„Niechaj nikt się nie pyszni, że ludzką złość i głupotę
„Zdołał zgłębić do dna... albowiem jest
nieskończona“. ¹ .*

W głównych zarysach, w liniach zasadniczych, powieść nasza, aczkolwiek wydaje się stekiem nieprawdopodobieństw, opiera się najściślej na faktach historycznych, na zeznaniach świadków, zapisanych w aktach procesu rzekomej czarownicy Anny Göldi, nieszczęśliwej służącej doktora praw w Glarus, którą zaprowadziło na szafot — rzecz nie do wiary! — oskarżenie z ust dziewięcioletniego dziecka, złośliwej i histerycznej dziewczynki, Miggeli Tschudi. W genialnej książce W. E. H. Lecky'ego „Dzieje Wolnej myśli w Europie“, najwybitniejszego znawcy historii powstania i stopniowego zaniku wiary w czarnoksiężstwo, do tej właśnie sprawy stosuje się znamieny przypisek autora na str. 66, oparty na podaniu Micheleta w księdze „Sorcière“:

„Ostatni sądownie przeprowadzony wyrok śmierci w Europie odbył się podobno w Szwajcarji w r. 1782. Ostatnia ustawa, odnosząca się do czarów, Statut irlandzki, została zniesiona dopiero w 1821 r.“ ²

Dodajmy szczegół charakterystyczny: wyrok na Annę Göldi padł poza ustawą, już zniesioną na ziemiach Szwajcarskich, zapomocą intryganckich naciągnięć procedury. Przedostatnim krajem, który poszedł śladami protestanckich Niemiec, znoszących oskarżenia o czary potem, gdy najsrożej zapisał się we wściekłych podrygach prześladowania nieszczęśliwych, Bogu ducha winnych, zidjociałych lub histerycznych kobiet, niemiec, inkwizytor Sprenger, autor wiekopomnego „Młotanaczarownice“ i kodyfikator ustaw, wymuszających zeznania odnośne torturami — była Polska w roku drugiego rozbioru, a więc za rządów światłego króla Stanisława Augusta. Dopiero pod

koniec tych rządów zagasły ognie ostatnich stosów, na których skwierczały palone żywcem ciała osądzonych przez gminę pod przewodem dziedziców włościanek, z których jednej „przyśniły się anioły, ugniatające w nieckach ciasto” — druga „nocką rzuciła pchły na oborę sąsiadki, rażąc bydło” i t. p. — bo takie były zarzuty i dowody czarowania.³

Tedy w utrzymaniu okrutnego zabobonu, który zresztą gdzieindziej na cywilizowanym zachodzie pochłonał znacznie więcej ofiar dzięki większej sprawności sędziów duchownych i świeckich — dała się Polska „wyprzedzić” tylko równie katolickiej Irlandji.

Zatem ów ostatni proces o czary w Glarus datą swoją zbliża się niemal do progów roku 1789-go, kiedy to powiał nowy duch genjuszu, dążącego śladami sceptyka Montaigne’a i wielkiego wątpiciela Hobbesa — zwycięski duch Woltera, i wymiół z zatechłych kątów ostającego się pod koniec XVIII wieku średniowiecza cuchnące śmiecie barbarzyństwa i niewoli duchowej, zanim w pomście za kajdany przeszłości popadła Francja w podrygi szалу na nowem tle: rzekomej „wolności i równości”, przeobrażających się w potokach krwi w nowy rodzaj tyranji pod dyktaturą „pilnującego praw Opatrzności” Robespierre’a.

Jako pono ostatni, proces ów posiada znaczenie poprostu symboliczne. Akta jego ogłosił, opatrując je złośliwemi komentarzami niepośledniego umysłu autor „Ludzkiej Tragikomedji”, świetny stylista i zajmujący historjograf, Johann Scherr.⁴ Po materiał do naszej powieści sięgnęliśmy do jego rewelacyj.

Oczywiście wypadło nam suchość kronikarskiego sprawozdania zastąpić opowieścią barwniejszą — odtworzyć psychologję wieków, podających wiarę oskarżeniom o czary, ku czemu tak wybornie posłużyło nam

dzieło Lecky'ego, — uwyraźnić ducha epoki i koloryt miejsca, ożywić charaktery ludzkie uczestników tej tragedii dziejowej. Musieliśmy powołać ku pomocy przenikliwość wyobraźni, która uprawnia i zarazem zobowiązuje twórcę romansów historycznych do odgadnięcia tego wszystkiego, co stanowi lukę w skąpych dokumentach historycznych; należy bowiem mieć na względzie, że za kulisami tragicznego procesu ukryły się mnogie sprężyny indywidualnej i zbiorowej psychologii, które spowodowały fatalny efekt: cała historia choroby „urzeczonego” dziecka jest wysoce zagadkowa — tak bardzo tajemnicza, że bodaj my, współcześni, bylibyśmy gotowi skazać biedną Annę Göldi za czary, gdyby nie ustąpił był duch łatwowierności i nie kazał nam szukać innych, naturalnych dla nas przyczyn wypadku, odmiennych od tych, które były naturalnymi dla najświatlejszych głów minionego czasu i danego miejsca. Wypadło w zgodzie z naszą obecną znajomością psychopatologii odbudowywać zdarzenia niewidoczne i niezrozumiałe dla oczu współczesnych procesowi — ożywić postaci, odgadnąć przeszłość „winowajczyni” z jej lakonicznych wypowiedzeń przed sądem i niedopowiedzeń aktów sądowych; trzeba było idee owej epoki, że tak rzekę, postawić na nogi żywych ludzi. Odgadująca w ten sposób fantazja winna stać się prawdziwszą i rzeczywistszą, niż sama prawda, ubogo wypowiadająca się w urywkach pozostałych na piśmie danych dokumentalnych i w nieśmiałych hipotezach ścisłej historjografji.

* * *

Zbudowaliśmy tedy pomnik naiwnej i nieszczęśliwej prostaczce, pracowitej służącej Annie Göldi, pisząc romans kryminalny jej życia. Jako symboliczna ofiara — jedna z milionów, dosłownie z milionów, które zginęły podobnie za

nic, nie rozumiejąc, za co ginęły niewinnie, jak ci, którzy je skazywali, nie rozumieli okrucieństwa i niesprawiedliwości swoich wyroków — zasługuje ona z pewnością na to, aby jej los wraził się w pamięć ludzką pod jej imieniem symbolicznem, ku nauce i przestrodze wieków przed fanatyzmem i krwiożerczością, rozszalałemi w imię „idei”. Niechaj choćby Jedna imienna na kartach powieści przemówi do mas swoją męką, niech stanie się ofiarą wykupną za grzechy mas — gdyż masy grzeszą, idąc na pasku prowadzących ciemnoty i rozpalając w niszczący żar iskry siane przez tamtych — niechaj zastąpi wspomnienie tylu, tylu innych bezimiennych, których krzywdy nikt się nie ujął, których mogił nikt nie zna, które zostały zapomniane na wieki, którym odmówiła imion skąpa sprawiedliwość historii, których prochy rozwiały wszystkie wiatry świata, na których nazwiska natrafia jeno rzadki szperacz, grzebiący się w kurzach archiwów sądowych, w nieodwiedzanych zakątkach starych bibliotek, w ocalałych wypadkiem od pożarów, od zębów szczurzych i od niszczącego działania czasu — resztkach szpargałów...

Cudowne słowa poświęcił tym wszystkim nieszczęśliwym wspomniany wyżej Lecky:

„Gdy pomyślimy o niezliczonych męczennikach, którzy zginęli w więzieniu lub na stosie, o milionach tych, którzy padli w wojnach religijnych, o zarodkach niezniszczalnej niemal nienawiści, które rzucone zostały między tyle szlachetnych narodów, — los kilku tysięcy niewinnych ludzi, żywcem spalonych w tym, lub owym kraju, w epoce zamierzchłej — może nam się wydać stosunkowo drobnostką.

„A jednak żadne chyba ofiary nie znosiły mąk tak strasznych i tak zupełnie pozbawionych wszelkiej ulgi. Dla nich nie istniała siła dzikiego fanatyzmu, hartująca duszę dobrowolnych męczenników idei na niebezpieczeństwa i

znieczulająca nawet ciało na cierpienia. Nie istniała nadzieja wspaniałego żywota w wieczności, pozwalająca męczennikowi w uniesieniu egzaltacji widzieć w buchających płomieniach ognisty wóz Eljasza, na którym duszą wzleci ku niebu. Nie istniała nawet ta marna pociecha, że przyjaciele opłakiwać będą ich stratę, ani świadomość, że pamięć ich zazna szacunku i współczucia potomności. Umierali samotni, znienawidzeni, nieżałowani. Cała ludzkość uważała ich za najgorszych zbrodniarzy. Najbliżsi nawet krewni cofali się przed nimi, jako przed wyrzutkami i wyklętymi. Przesady, nabyte w dzieciństwie, mieszały się ze złudzeniami starości i grozą położenia, każąc im często wierzyć, że są istotnie zaprzędani djabłu i oto swe męczarnie na ziemi zamienić mają na mękę równie straszną a wieczną — w piekle...

„Należy zważyć przytem, jaką grozą zabobon czarów przejmować musiał szerokie masy, wżyć się w okropną trwogę matki, wierzącej, że istota przez nią obrażona a niewidzialna (za ładą zboczeniem ze szlaków pobożności) posiada moc zdruzgotania przedmiotu jej umiłowania — dziecka w jej łonie, wyobrazić sobie przedewszystkiem, jak straszny cień rzucać musiał na ludzi sam lęk przed oskarżeniem i jaką goryczą zatruwał osłabione siły starości, smutną dolę samotności i opuszczenia. Wszystkie te cierpienia były wynikiem jednego jedyne go zabobonu, który został zniesiony przez ducha racjonalizmu“. ⁵

Czy zupełnie zniszczony?... czy upiory nie odradzają się stale w innych, przecież analogicznych kształtach? Nikt sumiennie badający życie, nie waży się zaprzeczyć z ręką na sercu, iż stare szkodliwe dla postępu życia błędy pokutują w myśli rzekomych nauczycieli cnót i „prawdy“, w sercach ciemnych i zawsze gotowych do zbrodni mas!

A dlatego — budując pomnik Złotowłosej Czarownicy z Glarus — jednocześnie przy całej naszej wyrozumiałości na

błędy ślepej wiary, uderzyliśmy z należytą mocą w źródła, z których wygląda po dziś dzień upiór ciemnoty i stale wynikają odrodzone zbrodnie nienawiści międzyludzkiej, chociażby owe źródła temu lub owemu wydawały się szczerze świętością, lub obłudnie podawane bywały za świętość celem wyzyskania głupoty tłumów.

Nie znaczy to jednak wcale, abyśmy chcieli puszczać wodę na młyn nowego rodzaju fanatyków — fanatyków świeckiego autoramentu, którzy wymyślili sobie nowe gatunki heretyków i czarowników już w innych dziedzinach życia, a którzy — brodząc po kostki we krwi — śmiało twierdzić zuchwale, iż wiodą w ten sposób ludy do ideału prawdy i szczęścia. A tworzą li dla życia narodów nowe ciasne formułki, nowe dogmaty teoryjek, nowe więzy dla myśli ludzkiej — nowe „nienaruszalne“ świętości!...

Leo Belmont.

Dn. 20 października 1931 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Kazanie, które nie ustaje przez dwa tysiąclecia...

„...Gnojowiskiem żądz jest ciało twoje!... O nędzniku pyszny! jeszcze chadzasz po świecie, dumny i wyniosły... I nie myślisz o tem, że śmierć przyjdzie po ciebie niespodzianie, może w tym roku, może w tym miesiącu, może w tym tygodniu jeszcze — i złupi cię z wszelkiej ozdoby twojej, czy to z wdzięków twarzy, czy z wziętości u ludzi, czy z wyniesienia władzy, czy z wszelakich innych wielkości tego świata; złupi cię ze wszystkiego i ciśnie tobą, zgniłym i cuchnącym trupem, w grób ciemny, gdzie nie będziesz już jaśniał ani światłością, ani wielmożnością swoją; lecz będziesz pastwą robactwa i kupą gnoju, wreszcie garstką popiołu — i znikniesz!”...

W przednich ławach, w których usadowiła się elita stołecznego miasta kantonu Glarus, bladły twarze męskie, chyliły się głowy kobiet. Gdzieś w dalszych szeregach ław, zajętych przez prostactwo, słychać było pojękiwania i cichy płacz bab; surowe oblicza pracowitych Szwajcarów stawały się bardziej jeszcze posępne; stwardniałe od roboty ręce zaciskały kurczowo udzielane przez zarząd zboru na czas nabożeństwa modlitewniki. Cała świątynia, zatłoczona przez pobożnych, była jednym zasłuchaniem się w słowa kaznodziei.

Ten, który grzmiał tak nad głowami swoich owieczek z wyżyn rzeźbionej z czarnego drzewa kazalnicy i piorunowem słowem roztaczał wizję nieubłaganej śmierci, — był jeszcze człowiekiem młodym; mógł mieć lat najwyżej

25, a cieszył się już sławą pierwszorzędnego teologa i krasomówcy. Twarz jego, blada i szczupła — twarz ascety — nosiła znamię swoistego piękna: była niejako prześwietlona „uduchowieniem”. Oczy, osadzone głęboko, płonęły, jak dwie żagwie. Ciemna opończa obwisała na jego chudej postaci; jeno u szyi bielały na niej zwisające końce tradycyjnej pastorskiej befki. Wydawał się niby cieniem, oderwanym od olbrzymiego cienia, który na gołych ścianach starodawnego kościoła, przejętego w czasach Reformacji przez zbór ewangelicki od stopniałej gminy katolickiej, — odznaczał się przez grę świateł, zapalonych na skromnym ołtarzu. Nad ołtarzem, oczyszczonym od licznych rzeźb i malowideł świętych poprzedniego kultu, zwisał od stropu jedyny tutaj obraz: Jezus, zdejmowany z krzyża przez gromadkę wiernych uczniów; — obok zalane łzami Macierz Boża i pokutnica święta, Magdalena.

Pastor odchrząknął, wyciągnął subtelne palce obu rąk i rzucił ponowny grom na głowy słuchaczy:

„A czyliż opływający we wszystkie skarby i rozkosze, we wszelką cześć i sławę, we wszelką władzę i potęgę, Król Żydowski, Salomon, nie ogłosił był światu:

„Marność nad marnościami i wszystko marność!” Nie pouczył-że nas o znikomości wiekopomnej słowy: „Jakoś wyszedł nagi z żywota matki swej, tak wrócisz, a nic nie weźmiesz z pracy swojej”.⁶

„O głupi człowiecze, wspomnij na słowa proroka Jezajasza: „Stargana jest do piekła pycha twoja, upadł trup twój: pościelą twoją będą mole, a przykryciem twojem — robacy!”⁷

„Idź-że, duszo moja, do grobu swego i oglądaj przed czasem trup swój. Przyjrzyj-że się nareszcie, człowiecze, czym jest to cielsko twoje, dla miłości którego wystawiasz się na niebezpieczeństwo potępienia wiecznego! Spójrz: to dwie studnie robactwa — to były oczy twoje, może

bezwstydne, ciskające strzały na zabicie niewinności, miotające błyskawice ognia wszetecznego! Te czarne strzępki przegniłego mięsa — były to usta twoje, lubieżne i łakome, i ten twój język złośliwy a brudny! To wielkie gniazdo robactwa — to był brzuch twój, któregoś miał za Boga twego!“.

Opasła jejmość, o twarzy, zapłyniętej tłuszczem, z dwoma nad miarę wydatnymi podbródkami, licząca przeszło czterdzieści wiosen, w przestronnej różowej sukni, zdającej się morzem falbanek, poruszyła się tak żwawo na galerji i tak głośno cmoknęła z zachwyty, że zwróciło to niemal powszechną uwagę. Aptekarz, siedzący na dole, podniósł łysą głowę o klinowatej bródce, spojrzał na wzruszoną głęboko damę świdrującymi oczkami i nie bez złośliwości pomyślał:

„Ma na myśli swoją połowicę“.

W istocie dama, która zajmowała stale co Niedziela miejsce na galerji nawprost kazalnicy, aby nie tylko słyszeć każde słowo, ale widzieć dokładnie podczas kazania wymownego pastora — była małżonką tego ostatniego. Jej łakomstwo stało się przysłowiem w mieście Glarus i powszechnie żałowano nowego kaznodzieję, wezwanego z gminy Zurichskiej przed paru miesiącami za ledwo, z powodu tak niedobranego małżeństwa. Wtajemniczeni jednak rozumieli konieczność losu: ubogi seminarzysta, pałający chęcią naprawienia grzesznego świata, a nie znajdujący pola dla rozwinięcia swoich naturalnych zdolności i podjęcia swojej przyrodzonej misji, poślubił przed kilku laty postarzałą wdowę superintendenta w Zurychu, co otworzyło mu wreszcie wrota kariery duchownej w przepełnionych kadrach kleru i utorowało drogę do objęcia probostwa w gminie Glarus. Aptekarz, jedyny w tem mieście człowiek, zarażony skrycie nowinkami genewskimi, które z lekkiej ręki zmarłego

przed trzema zaledwo laty (w roku 1778) pana Voltaire'a już rozlewały się niszczącym jadowitym potokiem na arystokrację Francji, — nie zdając sobie sprawy z tego, że mówca trawestował ustęp o „brzuchu” z listu św. Pawła do Philippensów (Rozdz. III, 19), zastosował go swobodnie w myśli do małżonki pastora. Nikomu jednak nie zwierzyły się ze swawolnej swojej interpretacji, gdyż był człowiekiem rozsądnym i praktycznym, nie zamierzał wcale narazić się na utratę klienteli w pobożnym miasteczku Glarus, a może i na inne niedogodności zbyt swobodnego trybu myślenia. Dbali o dobra doczesne, nie przepuszczał nigdy nabożeństwa niedzielnego w kościele, gdzie tyle prawiono o dobrach wiecznych. To też kiedy obok niego siedzący doktor praw i sędzia z „trybunału pięciu” Ruodeli Tschudi, zauważył po przytoczonym ustępie: „Cudownie mówi!” — aptekarz obłudnie naśladował cmoknięcie pani pastorowej Bleihand i potwierdził:

— „A, cudownie!”

Nie było przyjętem wogóle krytykować kazań, a tembardziej, mieć wątpliwości co do krasomówstwa pastora Bleihand, który w istocie władał słowem religijnem niepospolicie i w ciągu kilku tygodni zawojował opinię całej inteligencji w Glarus. Miejscowy kanonik katolicki Haller zasłyszał coś o potędze kaznodziei ewangelickiego, a zetknąwszy się z nim przypadkiem i usłyszawszy odeń niezwykle tolerancyjne wyznanie, że „pomimo wszelkich różnic dogmatycznych między obu kościołami”, uczony teolog wiary Luterńskiej, „nie waha się wzorować kazań swoich na stylu ćwiczeń duchownych św. Ignacego, chwały Kościoła Rzymskiego” — uczynił nawet próbę zjednania go dla opoki św. Piotra, jako że ta w Glarus, niestety, pozbawioną była mówcy, tak potężnie działającego na serca i umysły. Ale ten szczery a niezwykły z ust przedstawiciela innej konfesji komplement rozbił się o „upór luterski”

znakomitego kaznodziei. Kanonik z odrobiną zazdrości, o ile ta przystała stanowi duchownemu i potrafiła być w trosce o własne owieczki piękną, myślał o tem, jak „przybysz z Zurychu“ zagarnia pod skrzydła swego wyznania rzesze ludzkie, powodując nawet liczne odstępstwa od „jedynie prawdziwej wiary“ wśród miejscowych katolików.

Pastor Bleihand malował obecnie przed słuchaczami wizję piekła, grożącego niewiernym w myśl słów ewangelji św. Mateusza:

„Idźcie ode Mnie przekłęci, w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego. ⁸ .

„Wchodźcie przez ciasną bramę; albowiem przestronna jest brama i szeroka droga, która prowadzi na zatracenie, i wielu jest, którzy nią wchodzą. ⁹ .

Na tej części kazania odbiły się płomiennym stylem i wiedzą doskonałą o życiu pozagrobowym studia Bleihanda nad ćwiczeniami św. Ignacego Lojoli. Nie podając źródła — jako że pożyczka obrazów w zamiarach tak budujących była całkiem usprawiedliwioną i źródło nie odgrywało roli — pastor głosił zebrany:

„Aniołowie po pierwszym i jedynym i samą tylko myślą popełnionym grzechu wrzucani są do piekła na wieki; a tobie nędznikowi Bóg tysiące grzechów, najszkaradniejszych gizechów, najłaskawiej odpuścił!“ ¹⁰

„...Ale kara wieczna nie minie cię, grzeszniku. Dusza twoja goreć będzie w ogniu wiecznym!

„Lecz czem-że w porównaniu z utratą szczęścia oglądania Boga w niebie są wszelakie ognie i stosy smolne, nagotowane dla ciebie w piekle? ¹¹

„Boleść z tej utraty jest nieskończona!

„Miljony wieków przepłyną, a z morza wieczności nie ubędzie ani kropla jedna. Miljony milionów wieków nie skończą, a potępieńcy zawsze będą potępieńcami... ¹²

„Jako przyrzeki był prorok Izraelski: „aby wiedziało wszelkie ciało, że Ja, Pan, dobyłem miecza mego z pochew jego, który nie może być wrócon...¹³

Błada twarz mówcy stała się jeszcze bledsza. Cień na pobielanej ścianie zdawał się rosnąć bez końca. Kaznodzieja trząsł się w transie natchnienia, opisując mroki, ognie, lody i tortury piekieł z potęgą wizjonerską Danta — sięgał do pisarza z II wieku po Chrystusie, który pouczył wieki całe nieśmiertelnemi słowy o rozkoszy, jaka będzie udziałem sprawiedliwych i zbawionych, gdy oglądać będą z wyżyn nieba owe męki potępieńców wiecznych:

„Jakże wspaniała będzie ta scena! Jakże będę się śmiał i radował! Jak triumfować będę, gdy grzesznicy płonąć będą w ogniu stokroć gorszym, niż ten ziemski, w którym palili świętych!... Wtedy tragicy pogańscy wydawać będą jęki straszniejsze, niż te, co ongi rozbrzmiewały w teatrach, a zręczność komedjantów uwydatni się jeszcze lepiej, gdy płomień uczyni ich zwinniejszymi!¹⁴

Przerażenie i groza padały na pobladłe twarze słuchaczy. Kilka dziewcząt w głębi mrocznej nawy zaniosło się płaczem. Mężczyźni bili się ze skrucą w piersi. Starsze kobiety przyklękały.

W kościele, wypełnionym ludźmi po brzegi, zrobiło się duszno. Majestatyczny kustosz, pomny na nierzadkie wypadki omdlenia podczas kazań, postąpił na palcach ku drzwiom i otworzył je naościę — zwłaszcza mając na uwadze, iż bliski był koniec nabożeństwa.

Struga świeżego powietrza wdarła się zwycięsko do świątyni. Przed oczyma kaznodziei, wyprostowanego na kazalnicy, zarysowały się czarowne, zielone wzgórza — białe domki, rozsypane na zboczach i w dolinie, — cały uśmiechnięty w złocie strzał słonecznych plac przed kościołem — i na horyzoncie wspaniałe szczyty gór, zarosłe kędzierzawą krasą sosen i świerków, powyżej spowite

wiecznym śniegiem, skrzącym się w tej chwili w świetle pogodnego jesiennego poranka.

On jednak, zda się, nie widział całego tego piękna — tych bujnych skarbów życia, rozsypanych szczodłą ręką Niewiadomego Stwórcy...

On mówił o stosach piekielnych i wiecznych mękach grzesznego ciała... o śmierci i karze zagrobowej, jako spuściznie pierwotnego grzechu, grzechu wypędzonych z raju naszych rodziców!...

ROZDZIAŁ II.

Dziewczyna, która śpiewa.

Mówca wzburzony umilkł na chwilę i wielką kolorową chustą obcierał pot z wysokiego czoła.

A w tej samej chwili stało się coś dziwnego...

Przez otwarte wrota świątyni wpadł do wnętrza śpiew...

Nie żaden śpiew pobożny — ale prostacka swawolna piosenka, jedna z tych, od których Glarus już był odwykły za ostatnich miesięcy pod cnotliwymi wpływami nowego proboszcza. Albowiem w kawiarniach prowadzono teraz stale dyskusje na tematy pobożne — w winiarniach mieszano wodę do wina, nie upijano się po dawnemu — znikła ochota taneczna, nie nuciły dziewczęta ludowych piosenek — spacerzy przeobrażały się w procesje, śpiewające psalmy lub pieśni Marcina Lutra.

A tu — naraz — jakby korzystając z chwili ciszy, gdy kaznodzieja zbierał siły do dalszej przemowy i słuchacze odzyskiwali stłumiony przez czas dłuższy oddech — z poza ogrodzenia kościoła doleciała pieśń, nucona świeżym i słodkim głosem kobiecym:

Słońce jasne ma promienie.

Ptak ma dźwięczny głos...

Świecić — słońca przeznaczenie.

Śpiewać — ptaka los...

Ty masz serce do kochania,

Do wianeczka skroń...

Usta masz do całowania,

Do pieśnyczoty dłoń...

Szmer oburzenia zawisł w powietrzu. Rozpaliły się oczy kaznodziei i jakoś głębiej zapadły oczodoły.

Młoda dziewczyna, w haftowanej w kwiaty, wielobarwnej chusteczce na głowie, okrążała kościół wolnym krokiem i w zapomnieniu śpiewała.

Była przedziwnie urodziwa — przedziwnie, gdyż naogół dziewczęta szwajcarskie, zwłaszcza w surowszym klimacie Kantonu Glarus, nie odznaczają się krasą. Na ich twarzach, na postaciach, zastyga pieczęć surowej pracy, do której przyzwyczajają się od lat najmłodszych.

Ale Anna Göldi stanowiła wyjątek. Nie była coprawda wyjęta z pod prawa ciężkiej pracy, Bo-ć i ona nie pokładała nigdy rąk — nie uchylała się od licznych obowiązków, które spadły na nią od dziecka, jako że pochodziła z ubogiej rodziny, a obecnie ciążyły na osieroconej wcześniej, jako służącej w domu doktorstwa Tschudi, pod okiem kapryśnej i wymagającej pani doktorowej. Ale biła z niej jakaś dziwna ochota — wesoły temperament wybijał się ponad wszystkie zawody i gorycze jej wcale zawiłych losów życiowych. Pochodziła z południowego kantonu, gdzieś z nad granicy Włoch — była dzieckiem nieślubnem z niewiadomego ojca — budziła zdumienie złotą barwą swoich włosów, które i w tej chwili rozsypywały się z pod chusty, stanowiąc dziwny kontrast z parą czarnych, błyszczących oczu, jakie zwykły płomienieć żądzą życia na twarzach rodowitych Włoszek. Była kształtna i wysoka — posiadała lekki chód górskiej kozicy, jaką być się zdawała, gdy wdzierała się szalonym biegiem na skały i urwiska w jedynym dniu wolnym od pracy na przestrzeni tygodnia — w Niedzielę.

Nie czuła zbytniego nabożeństwa do kościoła — i bodaj tylko spacerem, w zapamiętaniu, obrała drogę w góry przez plac zboru. Ujrzawszy naraz otwarte wrota kościoła, przystanęła ciekawie na progu. Jakiś dziwaczny uśmiech

przewinął się po jej krasnych ustach: nie była miłośniczką kazań pastora, ale знаła go dobrze: mieszkał przecież na pierwszym piętrze domu doktorstwa, u których służyła, i nieraz wieczorami przysłuchiwała się kazaniom, które pastor wygłaszał wobec małżonki, przygotowując się przy otwartych oknach do kampanji Niedzielnej.

Ponieważ w Glarusie uchodziła za „troszkę pomieszana“, acz w pomieszaniu swoim „spokojną i porządną dziewczynę“ — oburzenie, które obudziła, wdzierając się w nastrój pobożny swoją swawolną piosenką i niemal zalotnem wejściem w progi kościoła — wnet opadło. Jednakże pod wrażeniem surowego spojrzenia, które pobiegło ku niej od kazalnicy — ona sama jakoś zmieszała się... Zacisnęła usta, na których urwała się piosenka — i niepewna zastygła na progu...

Pani sędzina Tschudi nachyliła się ku swojej sąsiadce, żonie burmistrza, pani Wetterhorn, i oznajmiła jej szeptem:

— Zmyję jej głowę w domu porządnie. A wie pani, dziewczyna zaczyna się zaniedbywać. Onegdaj w mleku, które podała mojej Marjetce, znalazł się wielki gwóźdź..

— To okropne! — zauważyła szeptem burmistrzowa — ależ dziecko mogło to przypłacić życiem.

— Oczywiście... ale Anna przysięgła, że sama nalewała mleko ze szkopka i gwoździa nie było... Mógł spaść z powały... Mój mąż ujął się za służącą — i nie będąc pewną jej winy, pozostawiłam ją u siebie nadal...

— O, dziewczyna jest sprawna... Widziałam, że pracuje za dziesięć...

Doktor Tschudi, siedzący obok żony, odwrócił się i spojrzał na nią z lekkim zgorszeniem. Dopiero teraz obie panie zauważyły, że pastor przemawia dalej — i umilkły.

Anna Göldi stała wciąż blisko progu i skręcała w zakłopotaniu nerwowo rogi chusteczki.

Bleihand grzmiał z kazalnicy:

„...Chcesz-li wiedzieć, jaką jest ta twoja spuścizna grzechu pierworodnego?

„Tedy zgromadź wszystkie koście umarłych, wszystkie zarazy, głody, powodzie, pożary, wojny i mory; wszystkie spustoszenia tylu krajów, wszystkie perzyny tylu miast i grodów, tylu lepierek i tronów; wszystkie mrozy zimowe i upały letnie; wszystkie choroby, boleści i męki tylu cierpiących i męczenników tylu; wszystkie, наконец, klęski i nędzy, które gdyby potopem wciąż zalewają ziemię; zbierz to wszystko złe, pod którym ludzkość jęczała, jęczy i jęczeć będzie aż do skończenia wieków; dodaj do tego piekło... wszystko to jest dziełem jedyne grzechu Ewy i Adama! Taki to róg obfitości zostawili nam niepokorą swoją pierwsi rodzice nasi. Ziemia stała się przez nich grobem wszystkich żyjących i mieszkaniem śmierci!... ¹⁵ .

Na ustach Anny Göldi znowu przemknął ten sam lekki, zagadkowy uśmiech. A w uśmiechu tym, w przekrzywieniu ust — było coś jeszcze prócz lekkomyślnego niedowierzania, był wyraz niesmaku i obrzydzenia. Szczęściem, nikt zgoła nie patrzył na nią — wszystkie spojrzenia zawiesiły się na krasomówczym kaznodziei. Ten już zbierał skrypty swoje, pełne cytat ze Starego i Nowego Testamentu, z proroków i ewangelistów; jął schodzić zwolna po kręconych schodach.

Anna Göldi skorzystała z chwili, gdy pobożni zagłębili się w psalterzach i zaintonowali pieśń nabożną — zakręciła się na pięcie i szybkim krokiem wyszła z kościoła.

Tuż za kościołem pięła się w górę wśród gęstych krzów wąska ścieżyna, prowadząca do ruin starego klasztoru — z którego zaledwo ocalały pokruszone zębem czasu i zarosłe zielskami gołe ściany z niegładzonego kamienia. Droga była trudna i stroma — zwaliska nie cieszyły się dobrą sławą; utarła się legenda wśród ludności, że w miejscach tych

„djabeł straszy“. Swawolna i odważna Anna Göldi obrała tę dróżkę dla spaceru — lubiła samotność.

Z kościoła biegł za nią śpiew chóralny pobożnych, któremu towarzyszyły dźwięki organów:

*„Ojca czcij i matkę swoją,
To jest powinnością twoją;
Więc rodziców nie gniewajmy
I panami nie wzgardzajmy,
Służmy im i ich szanujmy,
Ich słuchajmy i miłujmy,
Aby nam się dobrze działo.
Serce, czyś to w myśli miało?“* ¹⁶

Dziewczyna ukazała się wyżej na występie skały. Ogarnął ją jakiś szal wesela — wyciągnęła ramiona ku błękitowi nieba, na którym płonęło żółte oko słońca i zanosła się pustym śmiechem.

Ze świątyni, z której wyszedł bocznymi drzwiami z zakrystji pastor, znużony po spełnieniu nader ciężkiego obowiązku, w jaki wkładał całą swoją duszę — jeszcze biegły ostatnie dźwięki organów i końcowe słowa pieśni, którą z głębi podniesionych serc słała pod stropy pobożna gmina:

*„Więc serdeczne Tobie dzięki,
Panie, za zebrany plon:
Za Twe rany, za Twe męki,
Za męczeński gorzki skon.
Za twą trwogę, za Twe drżenie,
Tysiąckrotne udręczenie,
Za przelanie Twojej krwi,
Wieczne wieczne dzięki Ci!“* ¹⁷

ROZDZIAŁ III.

Pokusa biesa zmysłowości.

Jeszcze tłum nie wysypał z kościoła...

Pastor Bleihand przystanął i wachlował się szerokim rondem czarnego kapelusza. Oddychał ciężko. Był wyczerpany po niezmiernym wysiłku. Zaprawdę nie szczędził nerwów własnych, wydobywając ze zgorączkowanej wyobraźni straszliwe wizje, którymi sugestjonował swoje owieczki, szczerze dbając o ich zbawienie wieczne. Z czułością ogarnął wzrokiem gotyckie wieżyczki kościołka, w którym pełnił sumiennie swoją odpowiedzialną misję.

Poczem zwolna przeniósł spojrzenie na sąsiednie wyżyny górskie, panujące nad całą kotliną Renu i uroczą doliną Klönthal, przeciętą srebrnym pasem hałaśliwej rzeki Linth. Naraz przeraził się...

Na sterczącym z pośród olbrzymich sosen głazie zwiisała niemal napoły ciałem Anna Göldi, zaglądająca ciekawie w przepaść.

Zakrzyknął na nią głosem stłumionym, tyleż w lęku, aby zawołana tak nagle nie runęła głową wdół, co i w obawie, że nieprzestrzeżona zawczasu może ulec wypadkowi:

— Nieszczęśliwa dziewczyno, bój się Boga! Co tam robisz?

Od góry poleciał ku niemu wesoły głos:

— A nic... patrzę w przepaść. Tak przyjemnie zawraca się w głowie.

Miał wrażenie, że szczerzyła zęby drwiącym uśmiechem.

— Zejdź... nie kuś złego!

— Ani myślę... Idę wyżej... do obłoków.

Dziewczyna powstała.

Z ust pastora pobiegła naraz w górę odpowiedź, której on sam się nie spodziewał.

— A to poczekaj na mnie... Pójdę z tobą!

Głos pastora był dziwnie drżący — oczy spuścił.

— A juści! — parsknęła śmiechem Anna Göldi — pójdziecie?... Droga nie dla was — stroma.

— Spróbuję!...

I naprawdę jął dźwigać się po ścieżce w górę, choć droga była wyboista i pełna wielkich zwałów kamiennych, które osuwały się z pod jego stóp i z hukiem spadały na dno strumienia, wijącego się w przepastnym wąwozie.

Oczekiwała, pewna, że żartuje, lubo przekonana, że rychło znuży się niezwykłym dlań i trudnym spacerem. „Taki chuderlak“, — myślała ze złośliwą uciechą.

Ale on pokonywał trudności drogi. Chwytał się zwisających nad jego głową grubych gałęzi świerków — i wspinał się z pośpiechem, sapiąc ciężko, lecz zdecydowany dotrzeć do niej po tej stromej ścieżce. Jakby jakiś zew nieodparty, wabiła go jej czerwona spódnica, odbijająca jaskrawą plamą od ciemnej zieleni drzew. Kilkakrotnie, jakby z niepokojem, obejrzał się za siebie — osłaniały go gęszcze drzew, które pozostawił za sobą. Nikt z dołu nie mógł go dojrzeć. Nikt nie poszedł jego śladem. Nie kłopotał się, że małżonka może zaniepokoić się jego nagłym zniknięciem po nabożeństwie. Przyzwyczajona była do tego, że po kazaniu niedzielnym uchodził na kilka godzin w góry, aby odetchnąć; wracał do domu dopiero w godzinie obiadu.

Ale Anna Göldi — odważna Anna — doznała naraz ucisku serca. Ten chudy człowieczek w czarnej opończy, który darł się ku jej samotnej wyżynie, wydawał się jej jakimś upiorem, wyrosłym z przepaści. Prawdę mówiąc, nie lubiła

go. Nazywała go w duchu — nie śmiała by tej myśli powierzyć nikomu na głos — „straszydłem na wróble”. Przeważnie śmieszył ją, o ile nie przerażał, kiedy prała w strumyku na tyłach podwórza bieliznę państwa i małej Marjetki, a z rozwartych okien dolatywały ją jego histeryczne okrzyki i monotonne posępne teksty przygotowywanych przezeń kazań. Jeszcze jedno zdejmowało ją lękiem napół, napół bawiło: zdarzyło się parokrotnie, że pastor Bleihand zetknął się z nią w sionce domu, niemal otarł się o jej sukienki — nie widziała wówczas na twarzy jego wyrazu wstrętu; przeciwnie, oczy nauczyciela cnoty gorzały jakimś dziwnym blaskiem, w którym wyczytała coś naksztalt żądy. Może to właśnie było powodem jej zagadkowego i lekceważącego uśmiechu, kiedy przystanęła dziś na progu świątyni i usłyszała go kążącego przeciw rozpuście grzesznego cielska.

Jakkolwiek mocną czuła się fizycznie, zdjął ją nagle przestrach na widok tego niepojętego człowieka, który tak płomiennie karmił ludzkie namiętności, a teraz — niby cień groźny — stąpał uparcie jej śladami, zaciąwszy usta, wyciągając drapieżnie ręce i goniąc ją spojrzeniami gorejących oczu. Więc w miarę, jak zbliżał się do niej, pomykała coraz chyżej, pragnąc za wszelką cenę uniknąć z nim spotkania. Lecz ten bieg ją zmęczył — kilkakrotnie potknęła się boleśnie o kamień — zgubiła w biegu jeden sabot i już z większym trudem zdążała po zasypanej szczątkami skał, ginącej wśród zielsk i korzeni, dróżce.

Naraz na zakręcie drogi znikł jej z oczu. Stała właśnie obok drewnianego krzyża z wizerunkiem Męki Pańskiej, postawionego tu dawno przez pobożność okolicznych mieszkańców ku odstraszeniu złego ducha. Tuż zaraz poczynąły się ruiny.

Uspokoila się — odetchnęła i przysiadła na odłamku starego muru. „Głupia jestem!... czego się boję!” —